



## Dwumiesięcznik uczennic Seminarjum Nauczycielskiego w Marjówce.

### BAJKA O TEGOROCZNEJ WIOŚNIE.

Zima była ciężka — równie ciężkiej nie pamiętali najstarsi ludzie. Z głodu i zimna ginęły ptaki i zwierzęta. Żalotne skargi nieszczęśliwych stworzeń biegły hen... daleko, niesione skrzydłami okrutnego Wichru — wiernego sprzymierzeńca Mrozu, — aż doszły uszu Wiosny, co po trudach wypoczywała za morzami. Litością zabiło dobre serce Wiosenki na wiadomość o nielitościwych rządach Zimy, więc rzuciła wygodny spoczynek, by spieszyć poszkodowanym.

Biegła zaopatrzona w skarby niezmierne, co rozsiane po ziemi osuszyć miały niejedną łzę gorzką — rozradować niejedno serce. Drogę Wiosence zagroził ocean, jak wieczność ogromny, poza którym czekały wyciągnięte do powitania dłonie nieszczęśliwych, którym na znak,



że jest już blisko, wysłała skowronki, bociany i kilka jasnych uśmiechów, które na parę dni zwyciężyły zimno.

Tymczasem olbrzymi okręt, zaopatrzony we wspaniałe dary, wraz z Wiosną płynął do drugiego brzegu—ale tam czekała go zagłada. Mróz przygotował zasadzkę w postaci olbrzymich lodowców, o które rozbił się okręt i stał się łupem oceanu. Wiosna została sama, odarta z bogactw i znękana na lądzie, gdzie zamiast radosnych śpiewów i serc kochających, czekało ją szydzące spojrzenie zwycięskiego Mrozu i szatański a przejmujący strachem i zimnem chichot wichru. Stała bezradna i zrozpaczona, a Mróz i śnieżycy, nie zważając więcej na nią, szły, poprzedzane wichrem, obejmować wszechwładne, a okrutne panowanie. A Wiosna stała wciąż na brzegu, smutne żrenice topiąc w czerni oceanu, który wydarł jej szczęście.... Z odrętwienia wyrwało ją zimno, okrutnymi szponami szarpało jej niczem ciepłem nieodzianą postać, więc wstała, ciężkie kroki kierując ku osadom ludzkim. Idąc, słyszała znowu prośby o ciepło, o słońce, o chleb —i cierpiała coraz bardziej, że nic biedakom pomóc nie może, ona, niedawno pani można, teraz nędzarka z najuboższych uboga, a bogata tylko w cierpienie. I szła dalej, szła bez odpoczynku, bez celu, bez końca, aż któregoś ranka zatrzymała się przed drzwiami wiejskiego kościółka, gdzie nie było jarzących świateł, ni bogactwa, jeno Chrystus, w drzewie rzeźbiony, miłośnie spoglądał na lud siermiężny, co gorącym sercem błagał o ratunek. Spojrzała Wiosna w przejasne oczy Jezusa i uczuła, że On jeden może ją jeszcze uratować, więc przypadła do umęczonych Jego stóp, składając u nich swe biedne serce.

Pan spojrzał w nie, a zobaczywszy niezmierną miłość i cierpienie uśmiechnął się litośnie, łaskawie, uśmiechem, co mówił „Pokój ci”.....

I wstała Wiosna z klęczek, na nowo obdarzona skarbami nieprzebranymi, i wzniosła ku Chrystusowi wdzięczne, promienne oczy, co tysiącem ciepłych blasków zalały ziemię.

„Iskra” (Kurs I).



## DO ŚWIATŁA...

\* \* \*

Przyszła już wiosna i chociaż nieraz zimno przejmujące i ołowiane niebo, to rankami ślicznie. Na ścianach wschodzące słońce kładzie złote drgające plamy i skowronki śpiewają, jakby w nieustannej adoracji Boga.

Dni mijają, prawie niewidocznie. Radość niewiadomo skąd budzi się w sercach... Zamiast skargi lub żalu, częściej wesóły błysk ożywia twarzyczki, a śmiech odzywa się echem w korytarzu.



Mamy balkon, z którego możemy oglądać „cały świat”. Najpiękniej ten widok przedstawia się rankiem, lub wieczorem przy księżycu.

Ja osobiście wolę jasnym, świeżym rankiem...

Z naszego balkonu widzę małe, wiejskie chaty, przytulone do ziemi, za mgłami niebieszcą się lasy i długie, długie, białe drogi, idące w dowolnych skrętach ku nim.

Zdaje mi się wtedy, że te drogi idą od naszej szkoły na wszystkie strony, do biednych chat przy ziemi. A po tych drogach dążą nasze byłe koleżanki wciąż naprzód i naprzód...

Słońce im rzuca pod stopy swój złoty blask, a one z tych promieni i z ciepła własnych serc czerpią taką moc, że uśmiechają się spokojnie i ufnie, prowadząc za sobą całe zastępy, całe tysiące dzieci—do światła...

Dzwonek na odrabianie lekcji...

Ach—a tu na jutro 3 zadania geometryczne.... Robi się, jakoś ciemno i chłodno w duszy... Ale nic, podnoszę głowę i przywracam straconą równowagę ducha... Wszak każdy wysilek dla nich, dla tych dzieci z przygarbionych do ziemi chat.

Koleżanki już w klasach. Czasami przez półotwarte drzwi uderzy przyciszony gwar i jeszcze któraś z młodszo-kursistek przemknie po schodach.

Na V-ym kursie cisza, pracują wytrwale.

— Ładnie dzisiaj, Metko — zwraca się jedna maturzystka do drugiej — i tak słonecznie, jak nigdy... .

Obie przytulają zmęczone, blade twarzyczki do szyb, i stoją przez chwilę...

My młodsze patrzymy na Was, zmęczone maturzystki, ze wzruszeniem, bo to na Was kolej! Wy pójdziecie po tych długich, długich drogach, aby ze swej pracy tyloletniej, ze zwycięstw nad piętrzącymi się trudnościami wydobyć taką moc, by poprowadzić za sobą całe zastępy biednych, nieufnych dzieci—do światła... Będziecie oczekiwanymi siewczyniami bujnego, złotego ziarna na bogatą, lecz zaniedbaną rolę.

Niech Was prowadzą te długie, długie drogi na wdzięczną pracę i wielki plon...

Oto jednoczymy się wszystkie—jesteśmy już niedalekiemi, Waszemi następczyniami i składamy Wam serdeczne, koleżeńskie

— Szczęść Boże...

Szarotka. (Kurs III).

---

## WSPOMNIENIE.

*W nieznanych gdzieś krajach, gdzieś w górach i lodach,  
Ubrane w przepiękne marzenie,  
Gdzieś wdali, w błękitach, w głębokich gdzieś wodach,  
Powstaje tęczowe wspomnienie.*



*Na skrzydłach anielskich tu płynie na ziemię,  
Jak cudo lub baśni wierzenie,  
Ożywia i spokój na biedne to plemię  
Sprowadza tęczowe wspomnienie.*

*Znów czasem z śnieżystą, okropną zawieją  
Przybywa, jak straszne cierpienie  
A wtedy, choć czasem i ludzie się śmieją,  
Masz w sercu tęczowe wspomnienie.*

Śnieżka.



### Z naszego eleganckiego świata.

Pod względem elegancji my w naszej szkole nie pozostaliśmy w tyle; posiadamy swój dystyngowany świat, w którym wszechwładnie panuje moda. Moda do Marjówki nie przywędrowała wprost z Paryża, niemniej posiada dużo smaku i oryginalnego wdzięku. Nie jest też tak kapryśna jak w wielkim świecie, poprzestaje na skromnych wymaganiach, tyjących noszenia kolorowych, przeważnie czerwonych pasków, co zgrabnie obcisną czarne fartuszki i nadają figurce szczuplejszy wygląd, ogromnych, motylowych kokard przy bluzach o ładnych marynarskich kołnierzach, chusteczek wizytowych, dyskretnie wychylających kolorowe główki z kieszonek swetrów, i możliwie najcieńszych, choćby nie pierwszego gatunku pończoch.

Z temi pończochami to jest trochę kłopotu, bo moda, która lubi jasne kolory, ładnie odbijające od zgrabnych lakierów, różni się gustem z p. Dyrektorką, bo p. Dyrektorka woli pończochy czarne i czarne skromne obuwie. To samo jest z biżuterją, a moda i w jednym i w drugim wypadku musi ustąpić.

Ostatnim prądem naszej mody jest zapuszczanie i obcinanie włosów. Nie wiem czemu nagwałt zapuszczają włosy starsze kursy — dużo je to kosztuje pracy i cierpliwości, bo niezdolne wymykające się z pod spinek kosmyki nie dodają wcale uroku, więc tak trzeba z nimi postępować, by je poskręcać we wdzięczne loczki, a niepozornie sterczący ztyłu „ogonek” przykryć przemyślnie i ładnie związaną kokardą.

Młodsze kursy obcinają sobie włosy. Domorośle fryzjerki mają wielkie powodzenie, bo, aczkolwiek stara w świecie lecz świeża u nas moda, dużo znalazła hołdowniczek, z powodu czego Wila (fryzjer na młodszych kursach) nie może, zwłaszcza w sobotę, dać sobie rady z klientelą.

Oto obrazek takich sobotnich postrzyżyn: —

— Teraz moja kolej — woła Jadźka, przedzierając się przez gromadkę dziewczynek, co ciasnem kołem otoczyły stojącą z nożycami w ręku Wilę-



— Nie obcinaj sobie grzywki — będzie ci nieładnie, albo jeśli już chcesz koniecznie, to obetnij taką niedużą i w ząbek — prosi koleżankę Zocha.

— A ja ci mówię, Jadźka, że będzie pysznie, tylko daj spokój z tym „ząbkem”, żeby ci przypadkiem w ząbki nie obcięto — z entuzjazmem wodzi Hala.

— Tak, tak, wołają inne, tnij równo nad brwiami. na pewno będzie ci dobrze.

Jadźka stoi z miną wielce niezdecydowaną — naczesała włosy na czoło, to znów je zgarnia, ciągle badawczo wpatrując się w lusterko, niech tam, mówi, siadając przed Wilą — tnij!, ale gdy ostrze dotyka już jej włosów, zrywa się znowu i znówu się waha, wreszcie namowy koleżanek robią swoje i za chwilę Jadźka potrzasa, bujną, niezanadto równą uciętą grzywką. Groźny wykrzyk obserwujących dziewczynek wita tę zmianę, a potem znowu krzyżują się sprzeczne zdania na temat: „Czy do twarzy?”

Teraz następuje chwila spokojniejszej pracy, bo chodzi tylko o zwykłe podcięcie. Ale oto znów podchodzi któraś z rozsypanymi na ramiona włosami i prosi Wilę o „uwolnienie z więzów, które nie pozwalają nawet minuty dłużej spać po rannym dzwonku.” I znowu podzielone zdania, rady, wahanie, decyzje, a w epilogu łyż i rzucone przez koleżankę przysłowie: „Nierychło, Marychno, po śmierci wędrować”.

*Iskra. kurs I.*



Uczennice IV-go kursu zdecydowały na zebraniach klasowych omówić niektóre tematy, związane z życiem współczesnej kobiety. Referaty na ten temat, tworzące pewien cykl, będą kolejno podawane w Brzasku. Niniejszy referat jest pierwszym z tego cyklu.

### Kobieta w społeczeństwie.

Jeszcze nie tak dawno zakres działalności kobiety nie wychodził poza szczerbę częstokroć ramy życia rodziny. Jeśli mówiło się o życiu i obowiązkach kobiety w społeczeństwie, to zawsze w znaczeniu pośrednim. Rodziny bowiem składają społeczeństwo.

Pogląd ten uległ zmianie, gdy kobieta poczuła się pokrzywdzoną w swoim drugorzędnym stanowisku i zapragnęła wziąć bezpośredni udział w życiu społeczeństwa. Rozpoczęły się wysiłki jednostek energiczniejszych i obdarzonych inicjatywą. nie zbrakło zapału i wkrótce indywidualne poczynania doprowadziły do powstania poważnego problemu społecznego, który znalazł swe rozwiązanie w stopniowym równouprawnieniu kobiety w najszerszych przejawach życia społecznego.



### „SIEW SZLACHETNYCH MYŚLI”.

Mam przed sobą ozdobnie oprawny tom poezji Asnyka. Przewracam kartkę po kartce... Piękne, tchnące powagą i miłością strofy zachęcają do czytania. Natrafiam na słowa:

Nie zaginie siew szlachetnych myśli

I nie przepadną natchnienia najczystsze.

„Nie zaginie siew szlachetnych myśli...”

Zastanawiam się... Tak, w słowach tych Asnyk wypowiedział głęboką i piękną prawdę.

Dobro i szlachetność nie zginą nigdy bez echa. Zawsze znajdą swój oddźwięk, choćby w najniewdzięczniejszej duszy.

Najpierwszy „siew szlachetnych myśli” rzuca matka w młodą duszyczkę dziecka. Słowa jej dobre, szlachetne, wypływające z czystej miłości, padają cicho, niepostrzeżenie na wdzięczną „rolę” duszy dziecięcej. Kształtują ją, dają pierwsze pojęcia dobra, mówią, czym jest Bóg i stworzenie Jego. Dziecko umysłem może nie pojmie tych rzeczy, ale serduszkciem wyczuje, że matka mówi gorąco, z miłością, i wyczuje, że mówi prawdę, wysnutą z „natchnień najczystszych”, zaczerpniętych w modlitwie serdecznej.

Następny „siew szlachetnych myśli” rzuca szkoła. Oni, ci wychowawcy nasi i nauczyciele, przez cały czas naszego pobytu w szkole mówią o tym, co szlachetne i dobre, co święte i czyste. Prowadzą dalej to, co zaczęła matka. Urabiają dusze prawdą i szlachetnością.

Dalszy siew prowadzą inni dobrzy ludzie i dobre książki.

I tak przechodzą młode lata, tak przebiegają wiosenne dni swobody i radości. Idzie się w życie... Ono żąda konsekwencji, stanowczości i mocy. Kto słaby i nieprzygotowany, upadnie; kto silny, pójdzie naprzód.

Będzie się pisał w górę, na szczyty, wyżej i wyżej. W chwilach załamania się i walki żywo staną przed oczyma wszyscy ci drodzy i szlachetni, odżyją ich myśli i pragnienia w naszych sercach.

I tak stawać będą zawsze w ciężkich okolicznościach życia. Krzepić będą i kierować!

Dziwne to jest, bo kiedy się jest w szkole, to wszystkie te słowa padają, zda się niepostrzeżenie, mimo ucha. Zdaje się, że to jest taka zwykła nauka.

A dopiero poza szkołą, w chwilach jakiejś walki duchowej ocenia się doniosłość tych słów i nauk.

Nie smućcie się Wy, nasi najdrożsi „Siewcy”, Wy Rodzice i Nauczyciele nasi! Myśli Wasze i słowa nie przebrzmiają, ale kiedyś, kiedyś wstaną ciche a mocne i wieść będą przez etapy życia, bo szlachetność i dobro nie giną.

Z. (kurs V).



Punktem wyjścia w tych poczynaniach było stwierdzenie, że kobieta narówni z mężczyzną czuje się czynnym członkiem społeczeństwa i za takiego pragnie być uważana. Pierwszem zwycięstwem było prawo do zdobywania wiedzy, później wiele innych, aż do uzyskania czynnego i biernego prawa w wyborach do przedstawicielstw narodowych. Myliłby się jednak, kto by twierdził, że wraz z rozszerzeniem działalności kobiety poza granice rodziny, rola jej w rodzinie ulegnie zmniejszeniu. W rodzinie kobieta zawsze pozostanie pierwiastkiem twórczym i w niej przedewszystkiem znajduje możliwość uzewnętrznienia jednej z najbardziej istotnych cech swego charakteru—altruizmu.

Pozatem kobieta, będąc czynnym członkiem społeczeństwa, jest bardziej świadoma celu wychowania przyszłych pokoleń i może z tem większą starannością wszczeplać w nie tak ważne pierwiastki, jak patriotyzm i religijność.

Zastanawiając się nad stanowiskiem kobiety w rodzinie, łatwo stwierdzić możemy, jak bardzo do niego jest zbliżony nasz przyszły zawód nauczycielski. W nim bowiem leży poważna praca nad kształceniem charakteru przyszłych obywateli. Praca ta jest bardzo odpowiedzialna, to też kobieta, oddając się jej, powinna umiłować ten zawód, bo w przeciwnym razie nie spełni właściwego zadania.

Poza pracą nauczycielską kobieta dzisiaj zajmuje różne stanowiska. Dużo kobiet pracuje w biurach, następnie we wszelkich stowarzyszeniach i kooperatywach. Również w związku z potrzebami kulturalnymi społeczeństwa zakres działania kobiety jest rozległy. Różnorodne instytucje naukowe liczą w swych szeregach spory zastęp kobiet, również liczne ochronki, przytulki i gospody są polem działania kobiety.

Wogóle w każdej niemal dziedzinie otwiera się nowa praca dla kobiety, do której musi posiadać odpowiednie wykształcenie, znajomość i zrozumienie swego zadania.

Tematem mojego referatu było tylko ogólne postawienie kwestji kobiecej, nie zaś opracowanie działalności kobiety na poszczególnych placówkach. To będzie ujęte w odpowiednie referaty, np. „Kobieta w ognisku domowym”, „Kobieta, jako pracowniczka społeczna”, „Praca kobiety na polu naukowym i. t. p.

Na zakończenie dodam: i my już niedługo mamy objąć pracę w naszym społeczeństwie, starajmy się więc jak najlepiej przygotować do spełnienia swego zadania.

Pracując, pokochajmy naród całą duszą i chciejmy go zrozumieć, bo:

„Serce kobiety—to serce kapłanki,  
Co obejmuje ogromem miłości  
Rodzinę i naród, a duszą wybranki  
Odczuwa bóle cierpiącej ludzkości”

Stacha K.—IV. kurs.



### PIERWSZE CHWILE NA POSADZIE.

„Iść muszę w dal, nieznana dal  
Bo praca woła i nęci mnie,  
Bo słyszę w niej szum życia fal,  
Bo serce moje miłością wre...  
Iść muszę w dal...”

I poszłam z otwartym sercem, uśmiechem na ustach, ufna w swe szczęście...

Wyjazd mój z domu przyniósł trochę urozmaicenia;—pakowanie, pośpiech w załatwianiu sprawunków, wszystko to wprawiało mnie w doskonały humor.

Śmiałam się „ile wlało” i myślałam, żeby tak nadal mi się wesoło działo.

Wreszcie nadeszła chwila wyjazdu... żegnana przez znajomych, z błogosławieństwem Rodziców opuszczałam ten domek kochany i ruszałam w świat o własnych siłach. W duszy jednak czułam dziwny lęk, niepokój, czy podołam swemu zadaniu?

Ostatecznie jak jechać—to jechać, siadłam do pociągu i przyjechałam... najpierw do inspektora.

Przed wejściem serce wali jak młotem, gorzej niż przed rozmówką z którąkolwiek z pań w szkole, gdy się coś zbroiło, więc się żegnam, mówię pośpiesznie: „Pod Twoją Obronę”, wreszcie pukam i wchodzę.

Tu strach mnie opuszcza wobec przyjemnej i uśmiechniętej twarzy inspektora.

Po załatwieniu wszelkich formalności, odbyłam dalszą część podróży żydowską furmanką. Tego pojazdu i tej drogi—trudno zapomnieć, a że ja żywa i cała przyjechałam—to nadzwyczajność!...

Stanąwszy u celu podróży, to jest przed chatą, której miałam być mieszkanką, straciłam całkiem pewność siebie.

Weszłam do swego apartamentu i o, dziwo, pokoik dosyć ładny z oknem wychodzącym na ogród, rzekę, pola i bezkresny las...

Wspaniały widok, rozświetlony purpurą zachodzącego słońca, oczarował mnie...

Trwało to jednak minut kilka, a potem ogarnęło mnie przerażenie na myśl zostania samej w tym zakątku Polski, na tej głuchej wsi.

Roztęsknione serce wyrывało się całą siłą młodości i wołało: „Pocoś tu przyjechała, wróć się,—póki jeszcze możesz, wróć się, wróć”!

A dusza lkała cicho cichuteńko bez łez, bez głośniejszych westchnień...

No, ale przecież ja chciałam pracować, chciałam żyć samodzielnie—więc trzeba zaczynać —choć bunt w piersiach wre.

Nieprzyzwyczajona do myślenia we wszystkich kierunkach nie wiedziałam, do czego się mam najpierw brać czy do ugotowania sobie jakiego takiego posiłku, czy do doprowadzenia porządku w pokoiku.



Straciłam głowę...

Wyglądałam, jak rozbitek, wyrzucony przez falę życia na wyspę...

Na środku wszystkie moje rzeczy, ja zaś, stojąc bezradnie, dumalam nad swoją dolą, czy niedolą—sama nie wiem...

Wreszcie zaczynam ustawiać i rozpakowywać, bardzo powoli, swoje rzeczy.

Już wszystko w porządku—ale jakoś mi dziwnie smutno—tak pusto w tej mojej chatynie,—meble policzyć można na pięciu palcach, czemu to tak?... Pocieszam się prędko tem, że zato tańczyć jest gdzie, a ja przecież tak lubię, no, a zresztą co mi po gratach, żeby mi tylko niepotrzebnie zabierały miejsce.

Pukanie i wchodzi moja gospodyni z drzewem, która mi uprzątnia, że muszę jeszcze być kucharką. No, a ja przecież nic i nigdy nie gotowałam, bo do kuchni czuję dziwną niechęć, nawet w piecu rozpalić nie potrafię.

Więc, co będzie, bo ja wiem?

Ale gospodyni poproszona ładnie napaliła, a woda na herbatę sama się ugotowała.

---

Jeszcze cały świat tonął w szarości poranku, gdy zerwałam się na „równe nogi” i zaczęłam myśleć o spotkaniu z temi wiejskimi pociechami...

Po żmudnej pracy, poniesionej przy sporządzaniu sobie śniadania, składającego się znowu z herbaty—wędruję do szkoły

Wchodzę i mimowoli się cofam na widok sali dosyć dużej, o ścianach pustych i obdrapanych, wypełnionej po brzegi głowami dziecięcymi—różnego koloru włosów i różnej wielkości, które przyglądały mi się z wielkim zapalem, z oczami i ustami otwartymi...

Czuję że mimowoli lzy cisną mi się do oczu i... chwilka jeszcze, a wybuchnę płaczem, bo tyle dzieci, a ja sama, sama jedna...

Wspólna modlitwa i zaczynam prowadzić lekcję. Ciągłe wołania dzieci: „proszę pani, on mi wylał atrament”, „proszę pani, on się kopie” przerywały mi lekcje i trzeba było łagodzić spory, klótnie... przemawiać tym wiejskim łobuzom do rozumu—którego nie wiedzieć gdzie szukać.

Znowu chwila spokoju i znów te same skargi...

Tak się przemordowałam całe pięć godzin—choć mnie się zdawało, że są to całe wieki.

Wracałam do swego pokoju z miną znudzona, niechętna i niezadowolona....

---

Serce moje żarła straszna tęsknota, granicząca z rozpaczą, której nic ułagodzić nie mogło — jeno ten czas — kościel wszystkich cierpień.

Nie wspominając nic i nie myśląc o niczem, żyłam z dnia na dzień...



Sam widok ludzi, uśmiechających się do mnie, a jeszcze gorzej — litujących się nad moją samotną młodością, doprowadzał mnie do szału rozpacz — bez jęku i bez łez! Straszne to, co — przesłama...

Kto wie, czy mrok tej przeogromnej tęsknoty nie padłby na moją duszę, i nie zaćmił jej pogody. Gdyby nie usilna praca nad sobą i modlitwa do tej Pocieszycielki Strapionych, kto wie, czy nie stałabym się tą „czarną” pesymistką?

Ale nie dałam się...

I teraz jestem szczęśliwa — mam pracę — kocham ją, kocham dzieci — więc czemu miałabym narzekać? Czasami swego szczęścia w swej piersi pomieścić nie mogę i wówczas — przygarniam cały świat do siebie — uśmiecham się do każdej napotkanej twarzy i tak mi jakoś niezmiennie dobrze — tak dobrze...

I chciałabym żyć tem życiem, które rwie się do słońca i do radości i hymn zwycięstwa śpiewa nad polami śmierci, żyć niem stale!

E. M.



### Wrażenia z I-go zjazdu Koła byłych Wychowanek Seminarjum.

Przedemną Brzask № 12 roku 1927-go. Przeglądam swój artykuł, tematem którego było, jak sobie wyobrażam przyszłą pracę nauczycielską i czytam słowa:

„Cel wzniosły, dług wielki, a pracy moc, więc naprzód w życie, bo wielki już czas! Stoję na placówce. Ręce, już tak dawno rwące się do czynu, pracują ciężko, żmudnie. W sercu jakieś wielkie zmiany. Biegłam w życie do ludzi z otwartym sercem, pragnącem wszystkich uszczęśliwić. Przyjęto mnie chłodno, obojętnie. Wzdrygnęłam się. Coś z zawodu przesunęło się po mojem czole, a w sercu wyrzut: — Tak mię przyjmujecie, dlaczego nie chcecie widzieć, co dla was niosę?”

Pisałam to, będąc na IV—ym kursie w seminarjum, ale pisząc, nie zdawałam sobie sprawy, że słowa te tak dalece się spełnią. Ale i wtedy napisałam: „Życie to nie sen złoty, ani gromy oklasków — jeno praca żmudna, ciężka, twarda i czasami łzawa. Nie czekaj na czyny bohaterskie i wielkie poświęcenia, bo te mogą nie nadejść nigdy, ale tkaj z codziennych okazji i trudów wieniec, co ozdobi skroń twoją.”

Wtedy tak napisałam, dzisiaj słowa te stają się programem życia.

Na to wszystko jednak potrzeba bardzo dużo sił, które się przecież wyczerpują — więc trzeba je skądś czerpać.

Jednem ze źródeł siły to są zjazdy koleżeńskie w murach szkolnych.



Ile się stamtąd wynosi radości siły, porozumień fachowych i wiadomości, to tylko wtedy zrozumieć można, jeśli się bierze czynny udział w takim zjeździe.

Na wiadomość o pierwszym zjeździe byłych wychowanków w naszej szkole uczucie radości mojej doszło do największego stopnia. Jadę: za wszelką cenę, jadę!

Nareszcie jesteśmy, witamy drogie nam Nauczycielstwo, szkołę naszą. Koleżanki wszystkie takie same, szczere, otwarte natury. Rozmowom nie ma końca. Co chwilę któraś przybywa. Nowe wykrzykniki, uściski, powitania. Salwy radosnego, swobodnego śmiechu płoszą ciszę z kątów. Dobrze nam, dobrze! Bardzo dobrze! Jeden tylko smutny ton, niema wszystkich pań nauczycielek i niema wszystkich koleżanek. Dwadzieścia pięć nas stawilo się, a przecież już tyle szczęścia...

Zjazd rozpoczęliśmy wysłuchaniem mszy św., a potem odbyło się zebranie. Powitał nas drogi nam ks. Kanonik, podkreślając znaczenie zjazdów. Słowa brało się w duszę. A potem dyskusja na temat statutu. Ożywienie nadzwyczajne. Referaty związane z naszą pracą. Tyle wdzięczności w duszy, że to się wszystko słyszy, tu się wyjawiają pytania, wątpliwości, rodzą się pomysły owocniejszej pracy, sposoby wybrnięcia z kłopotów, pragnienia wytrwania mimo wszystko!

Dusze swoje odnawiamy i podnosimy przez krótkie, ale pełne treści rekolekcje. Smutną była chwila ponownego rozstania się ze szkołą, opuściliśmy ją jednak nie z lękiem przed życiem, przeciwnie, z mocą jakąś trwałą, zahartowaną już w boju życia, a teraz ugruntowaną. W organizacji poczułyśmy się silniejsze, wspólność dążeń zbliżyła nas jeszcze bardziej. Tu się zatarły różnice kursowe, powstała jednostka silna, której jest imię: serce!

Rozbiegłyśmy się znowu po świecie, aby tkać z codziennych trudów lepszą, słoneczną dołą. Za rok wrócimy po nową siłę i męstwo!

L. P.



## SPRAWOZDANIE Z WYCIECZKI W TATRY

### Pierwsze chwile w Tatrach...

W pogodny, pełen blasków słońca, wrześniowy dzień, 1928 roku wśród falistej okolicy Beskidu, z sapaniem i zgrzytem posuwa się powoli pociąg, wiozący nas do wyznaczonego celu. — Oczy nasze, nieprzyzwyczajone do górskich krajobrazów, z zachwytem śledzą coraz to piękniejsze widoki



i zatrzymują się dłużej na niezwykle u nas w tej porze zjawisku zaledwie rozpoczętych żniw, a nawet kołyszących się na zboczach zbóż. —

Lecz za chwilę cała nasza uwaga zostaje skierowana na górali, których gromadka przechodziła drogą obok pociągu. —

— Powitaliśmy ich głośnym okrzykiem radości... na co odpowiedzieli wesoło, machając kapeluszami. Niedługo jednak patrzyliśmy na nich, bo wkrótce zniknęli nam z oczu, pozostawiając tem pierwszem spotkaniem temat do niezliczonych uwag, wypowiedzianych z wielkiem zacięciem. To też w wagonie powstał gwar i zamieszanie. —

Nagły okrzyk — „patrzcie, Tatry”! zelektryzował wszystkie.

Przypadliśmy do okien.

I przed chwilą pełen gwaru i śmiechu wagon zaległa cisza...

— A przed nami coraz wyraźniej rysowały się w błękitną mgłę otulone — polskie Tatry. —

...I wzrok przyciągał zakuty w postać śpiącego rycerza, z widniejącym na szczycie krzyżem — Giewont.

— — — — —  
„Zakopane!” — Rozlega się donośny głos konduktora „wysiadać” — „Och!” „Nareszcie” „Myślałam, że się już nie doczekam!” Takie i tym podobne dają się słyszeć wykrzykniki. Ściągamy z pólek naładowane plecaki i, z wysiłkiem zarzucając je na ramiona, podążamy za p. Ziutą Grzymkowską (przewodniczką naszej wycieczki) do dworca „Towarzystwa Tatrzańskiego”, mieszczącego się przy głównej ulicy — Krupówki.

Po samym obiedzie i krótkim wypoczynku z zapalem, mimo zmęczenia, przyjmując propozycję p. Ziuty, udałyśmy się do sali „Morskiego Oka”, gdzie miał się odbyć wieczór ku czci Adama Asnyka. —

Zaznaczyć trzeba, że mądre referaty i pięknie, choć trochę niewyraźnie, wygłoszone deklamacje, nie robiły na nas wrażenia, albowiem Morfeusz utulił nas w swych objęciach... Z sennych wrażeń zbudził nas jakiś nieznany dotąd dźwięk, wydobywający się z dość dziwnie wyglądającego instrumentu w kształcie kozy — była to koba.

A stary grający na niej góral Mróz z Poronina, i siedzące obok niego góralki stanowiły bardzo ładny widok, na który z przyjemnością patrzyliśmy. Zmęczone, lecz zadowolone wróciliśmy do schroniska, aby się udać na zasłużony odpoczynek.

— — — — —  
Nazajutrz była niedziela.

P. Ziuta zaprowadziła nas do pobliskiego kościoła na sumę. Wszędzie spotykaliśmy gromadki odświętnie ubranych górali i góralek, którym nie mogłyśmy się dość napatrzeć. W kościele podobał nam się ładny zwyczaj śpiewania przez lud z księdzem pieśni. Po nabożeństwie poszliśmy na cmentarz, gdzie ze wzruszeniem spoglądałyśmy na groby znanych nam



dobrze z historii i tatrzańskich podań ludzi: doktora Chałubińskiego, ks. Stolarczyka i starego gazdy — Sabaly. —

Zwiedzyliśmy jeszcze maleńki w zakopiańskim stylu kościółek, a następnie skierowaliśmy się do muzeum „Towarzystwa Tatrzańskiego”. — Na wstępie wprowadził nas w podziw wspaniały, naturalnej wielkości, pomnik Sabaly.

— Po obejrzeniu wielu ciekawych rzeczy i wpisaniu nazwisk do księgi pamiątkowej opuściliśmy muzeum. —

O godzinie trzeciej w lekkich sportowych bluzkach, różnym krokiem, maszerowaliśmy na pierwszą wycieczkę do doliny Strążyskiej. Ze wszystkich stron otaczały nas góry, poznałyśmy nasz ukochany Giewont i o łagodnych zboczach Gubałówkę, z małą chatką pustelnika na szczycie.

Gorąco było nieznośne, a po kamieniach płynęły wartko kryształowe górskie potoki..

Zaspokoiwszy dokuczliwe pragnienie, śmiejąc się, przyskakiwałyśmy na siebie kroplami zimnej, przezroczystej wody. Idąc dalej, ujrzałyśmy niezwykle widok. — Oto na szczycie charakterystycznego dla skał wapiennych komina siedziało dwóch turystów, którzy, widząc nas, z ciekawością spoglądające w górę, powiewali chusteczkami.

Odpowiedziałyśmy im w podobny sposób.

I tak, potykając się od czasu do czasu na kamienistej drodze, doszłyśmy do miejsca, gdzie z wysokiej skały spływała woda i, pieniąc, toczyła się dalej...

Natychmiast znalazło się kilka amateerek, które, korzystając ze sposobności, urządziły sobie nad wyraz przyjemny chłodny prysznic.

Znalazły się nawet takie poetyczne osobki, które, usiadłszy na omszonych głazach u stóp spadającej wody, wydobywały ołówki i karty, kreśląc na nich swe wrażenia...

I cudnie wyglądał wtedy świat... —

I cudnem wydawało nam się życie, zaklęte w nieporównany czar polskich Tatr.

Nad nami rozciągało się błękitne niebo, a drzewa, lekko chyląc swe długie gałęzie, jakby z miłością obejmowały całą tę górska krainę. —

Czułyśmy się lekkie swobodne, szczęśliwe. — A dusze wypełniał nam podziw i cześć dla Stwórcy.

Niezdługo znalazłyśmy się na obszernej polanie, gdzie wśród krzaków czerwieniły się smaczne poziomki, na zbieraniu których upłynęło nam przyjemnie kilka minut.

P. Ziuta zapowiedział, że pójdziemy teraz drogą nad Reglami przez dolinę Białego do schroniska.

W dalszej drodze wszędzie wzrok nasz spotykał się z coraz piękniejszymi widokami, które należycie podziwialiśmy, zaprzestając wszelkich rozmów i zachowując całkowitą ciszę.



Przebywałyśmy właśnie Czerwoną Przełęcz, kiedy słońce, rzucając ostatnie swe purpurowo-złote promienie, kryło się za daleki bór.

A następnie z nieprawdopodobną szybkością przeskakując lekko wystające korzenie i głazy, z godną podziwu odwagą, przełamawszy wszelkie tego rodzaju przeszkody, znalazłyśmy się nad szerokim potokiem w dolinie Białego.

— Zwolna rozprzestrzeniał się zmrok.

Czekało nas jeszcze trudne, lecz ze względu na możliwość skąpania się w wodzie wielce pociągające przejście. Szczęśliwie jednak i bez żadnego szwanku dostałyśmy się na drugi brzeg potoku, dążąc w kierunku Zakopanego. —

W pewnej chwili stajemy.

W ostatnich dzielnych szeregach dają się słyszeć głosy, ciekawie pytające o powód zatrzymania. P. Ziuta oznajmia nam, że musimy wrócić gdyż droga okazuje się niemożliwą do przejścia. — Niezmiernie zadowolone z przygody, sypiąc dowcipami, stosujemy odwrót.

A tymczasem zmrok czynił się coraz gęstszy...

Na niebie ukazała się pierwsza gwiazdka... Wtem zostajemy zatrzymane przed szeroką i stromą ścianą porośniętą gęstym lasem góry.

W otaczającej nas ciszy rozlega się głos p. Ziuty: — „Panienki, chcąc dostać się do szosy, musimy wejść na tę górę.”

Posłuszne i chętne rozkazowi drapiemy się na czworakach, postępując i śmiejąc się głośno, zadowolone z nowej sytuacji.

Jednak w miarę posuwania się naprzód rozmowa cichnie..

Wsluchujemy się w tajemniczy poszum drzew i z dołu dochodzące senne bełkotanie płynącego doliną potoku...

Zapadła noc...

A od szafirowego tła nieba odrywały się błyszczące gwiazdy, i lecąc nad ziemią, gasły cicho...

Następnego dnia wypoczęte i ze świeżymi siłami wyruszyłyśmy na nową wycieczkę: przez Zawrat do Morskiego Oka.

*Niuśka i Wanda kurs IV.*

### Przez Zawrat.

Leniwo i ospale wstawał dzień jedenastego września 1929 roku. Przez niskie okno schroniska widać było mgły sine, rozciągające się po hali, na której pasły się stada owiec, pobrzękujących dzwonkami. Wstałyśmy i szybko pobiegłyśmy umyć się w czystej, źródlanej wodzie górskiej. Cudnie tu było... Chmury niby płaszczem okryły góry pobliskie, a dalekie zazdrośnie zasłoniły od oczu turystów.



Po smacznem śniadaniu, składającym się z mleka gotowanego i bułek, wszystkie ubrane w kostjumy gimnastyczne i z plecakami, naładowanemi żywnością, ruszyliśmy z przewodnikiem Wawrytką i p. Grzymkowską w góry. Przed wyruszeniem zastanawialiśmy się nad wyborem drogi. Wiele dziewczynek bało się Zawratu i wołały iść przez Liljowe, o której to drodze słyszały, że jest łatwiejsza. Gdy to Wawrytko usłyszał, zapytał nas ze śmiechem: „A którądyż będziecie chodzić, kie się obstarzejecie?!” To pytanie stanowczo zdecydowało o naszym wyborze. Ani jedna już nie chciała iść przez Liljowe.

Początkowo szliśmy parami szybko i wesoło. Dążyliśmy przecież do Morskiego Oka przez Zawrat. Po drodze spotykaliśmy górali, przepowiadających deszcz, ale myśmy śpieszyły dalej, nie patrząc na nic. Widok nie był rozległy, bo mgły wszystko zasłoniły. Częściowo cieszyliśmy się z tego, bo słońce nie mogło nam bardzo dopieć, a jednak szkoda nam było ładnych obrazów. Wawrytko opowiadał anegdotki, to też każda z nas chciała być bliżej niego. Coraz któraś pytała: „Gazdo, a daleko jeszcze?” i otrzymywała odpowiedź, że nie obejrzy się, a Zawrat już będzie. Po pewnym czasie ukazały się wyższe góry, a między niemi płynął mały potok. Gazda poprowadził do niego spragnione dziewczynki a one czerpały garnuszkami i piły. Już od dłuższego czasu padał deszcz, a my, nasze plecaki i kapelusz p. Grzymkowskiej (wzięty od słońca) wyglądał, jak grzyb walący się od starości. Teraz nareszcie usłyszałyśmy głos p. Grzymkowskiej: — Dziewczynki, Zawrat! — Każda z nas podniosła głowę ku górze, a serca biły mocno, — mocno. Usłyszymy jeszcze kilka kroków i ujrzałyśmy te sławne „klamry.” Są to grube pręty żelazne, zgięte i wbite głęboko w skałę, służą do oparcia nóg, a ponad niemi rozciąga się cały szereg łańcuchów do podtrzymywania się rękami. Pomimo że każda myślała o własnem niebezpieczeństwie, to jednak czuła wdzięczność dla Towarzystwa Tatrzańskiego i górali, którzy tyle pracy włożyli, aby turystom uprzyścić drogę w góry. P. Grzymkowska szła po klamrach, a za nią inne koleżanki, Wawrytko pozostał z ostatnimi, wskazywał drogę oraz dawał rady, całe szczęście, że klamer było zaledwie kilka i przeszłyśmy je b. szybko. — Już po śmierci — powiedział gazda, a my zadowolone idziemy dalej, dumne, żeśmy Zawrat przebyły. Niestety, po jakimś czasie widzimy znowu prostą, stromą skałę, a w niej — (o zawodzie!) — znów klamry. Jak zwykle p. Grzymkowska poszła pierwsza, a z nią kilka zuchów pięło się ku górze. My, będące jeszcze na dole, obserwowałyśmy wyciągnięte ciała poprzedniczek, które zdawały się wisieć w powietrzu. Zostało nas cztery, czekając na gazdę, który poprowadził nasze koleżanki — „zuchy.” Nie wiem, co myślały koleżanki, ale ja czułam, że gdybym tu u podnóża Zawratu została sama, to nie poszłabym kroku wprzód, ani zpowrotem. Czekaliśmy dość długo, bo jedna z koleżanek stanęła na klamrze i nie chciała iść dalej, a wrócić nie mogła. Dopiero na usilne



prośby poszła dalej. Wreszcie i my, szary koniec, doszliśmy do szczytu, teraz wszystkie patrzyliśmy na ogromne szczyty gór, które pozostały poza nami i na przepaściste ich zbocza. Niejedno westchnienie uleciało wtedy do Boga, dziękując za szczęśliwe przebycie drogi. Schodzimy w dół po śliskim piasku i siłą powstrzymujemy się, aby nie zlecieć. Po drodze oglądaliśmy zmarniałe krzewy kosówki, będące już na wyginięciu.

Z ubrania każdej płynęła woda strumieniami, a deszcz lał ciągle. Kilka już upadało ze znużenia, ale inne dodawały im otuchy, mówiąc, że już blisko. Bardziej wytrwałe poszły nawet zobaczyć Wielką Siklawę. Wreszcie ujrzałyśmy szosę, a na niej furkę góralską, wiozącą nasze „chore” do Morskiego Oka, z Zakopanego. Dobyłyśmy reszty sił i szybko zbiegłyśmy na dół, gdzie ustawione w pary, podążyłyśmy do schroniska. Powitali nas tam koledzy z seminarjum łowickiego, ale myśmy nie miały chęci do pogawędek.

Każda zmęczona z niecierpliwością czekała na łóżko i koc. Gdy już głowy spoczęły na poduszkach, wypchanych słomą, zaczęły krążyć po nich marzenia na przyszłość, a nad wszystkim unosiły się ciche słowa piosenki:

„I radbyś na wyżynie,  
Dwa razy życiem żyć,  
I z Orłem pójść w zawody,  
I jeszcze wyżej być!”

X. IV kurs.

## DZIAŁ KOŁA PRZYRODNICZO — GEOGRAFICZNEGO IM. ROSTAFIŃSKIEGO.

### Hodowla sowy.

W mroźny śnieżysty dzień styczniowy przynieśli nam wieśniacy małą sowę, wystraszoną, oślepioną światłem, z boleśnie opuszczonem złamanem skrzydłem. W klatce okazała się spokojniejsza, można było zatem zaobserwować jej wygląd zewnętrzny. Był to puszczyk, rdzawo — płowy miał mocne, hakowate szpony, ostry dziób i ogromne czarne oczy, otoczone jasno — popielatymi szlarami. W pożywieniu sowa nie była wybredna. Żywiła się głównie mięsem surowem, a w braku takowego, nie gardziła gotowanym; napojem jej była czysta, zimna woda. Początkowo kroić mięso swej wychowawcy było dla mnie trudne, niebawem jednak okazało się, że woli sama przygotowywać sobie posiłek. Sposób owego przygotowania był bardzo prymitywny; trzymając mięso mocno szponami, rwała je dziobem i polykała żarłocznie, mimo że nie była nigdy głodna, bo porcje dostawała obfite. Dzień cały spała zwykle spokojnie, ale czujnie. Każdy szelest lub zbliżanie się do klatki gniewało ją. Stroszyła wtedy piórka swej szaty, wydawała z głębi gardzieli dźwięki, podobne szelestowi papieru, mrugała oczyma, przesłaniając je cienką błoną powieki. Ranne odwiedziny przyjmowała dość obojętnie, ograniczając się jedynie na bacznej obserwacji moich ruchów. Gorzej było wieczorem; wtedy bowiem usiłowała wyfrunąć z klatki. Dodatkowo przedstawiała się siłą młodej sówki; podnosiła wieko klatki, przyciśnięte



sporym kamieniem, a uzyskawszy swobodę, zwiedzała wszystkie kąty sali, rezultatem czego był połamany kwiatek lub wylana woda ze słoików z hodowlami. Pozycja, w jakiej się ją zastawało po nocnej wyprawie, niczem nie zdradzała awanturniczych jej czynów. Spała sobie najspokojniej na półeczce lub brzegu szafy, z gładko leżącymi piórkami sukienki i niewinnym wyrazem oczu, jakie podnosiła na mnie, gdy przenosiłam ją do klatki.

Dwumiesięczna kuracja dobrze wpłynęła na złamane skrzydło sówki, mrozy prawie ustały, postanowiliśmy wtedy wrócić jej wolność, do której, zdawało się, tak bardzo tęskniła.

Przy srebrnych blaskach księżyca uchyliłyśmy drzwi niewoli. I, o, dziwo! Sowa nie zdradzała najmniejszej ochoty do opuszczenia nas, mimo że zachęcałyśmy ją w różny sposób do lotu. Bardzo długo nie poruszyła się z miejsca, poczem pofrunęła kilka kroków, zatrzymała się, wreszcie z szumem frunęła w ciemną dal.

W kilka dni później ozwało się donośne pukanie w szybę jednego z okien, za którym ukazała się na chwilę wychowanka sali biologicznej.

Przybyła widocznie, by okazać swą wdzięczność za opiekę w dniach strasznych, ukazujących widmo głodu i śmierci.

Przyrodniczka kurs IV.



### Wycieczka do Suchodołu.

Dzień był wietrzny, ale nie chłodny, ołowiane chmury przesuwaly się po niebie, odsłaniając od czasu do czasu jasno-świecąą tarczę słoneczną. Tego właśnie dnia (w sobotę 20 kwietnia b. r.) niezbyt gwarantującego nam pogodę, wyruszyliśmy z gmachu szkolnego o g. 3 pp. na wycieczkę przyrodniczą do lasu koło Suchodołu. Wycieczka liczyła, wyłączając p. Przewodniczącą, 31 osób. Pędzone silnym wiatrem, który nie pozwolił nam nawet zaśpiewać, (jak to robimy zawsze przy wyruszeniu na wycieczki) doszliśmy do szosy, a potem skierowaliśmy nasze kroki ku lasowi. Zatrzymaliśmy się na jego skraju, aby omówić cel naszej wycieczki, który brzmiał następująco; „Objawy przedwiośnia w lesie, zarówno w świecie roślinnym, jak i zwierzęcym”. Dla ułatwienia obserwacji podzieliliśmy się na cztery partje, z których każda z głównodowodzącą oddaliła się w inną stronę. Kiedy dostałyśmy się do głębi lasu, przedewszystkiem oczy nasze uderzył widok, bardzo zresztą przykry dla miłośniczek przyrody: w lesie a zwłaszcza na porębie widać było spustoszenie, spowodowane przez mrozy. Najwięcej ucierpiały na tem jodły. Zielone ich gałęzie zmieniły barwę na brunatno-czerwoną, tworząc na tle lasu krwiste plamy. Szczególnie odczuły to jodły w porębach, te sczerwieniały, począwszy od gałęzi najstarszych, aż do samego wierzchołka. Jodły starsze odporniejsze były na działanie mrozu, to też uległy mu tylko młodsze gałęzie. Gdzie niegdzie, ale to już tylko miejscami, czerwieniały i świerki. Skonstatowaliśmy, że uszkodzenia



w drzewostanie były bardzo znaczne. Usiłujemy więc w okolicach naszego seminarjum badać w dalszym ciągu ślady niedawno odeszłych od nas mrozów. Z kolei zwróciliśmy uwagę na właściwy cel naszej wycieczki. Zarówno w świecie roślinnym, jak i zwierzęcym zauważyliśmy wielkie usiłowania w budzeniu się do życia, ale gdyby nie ciągle zimna, uwidoczniłoby się ono więcej. Przedewszystkiem uwagę naszą zwróciły młode pędy na sosnach, jodłach i świerkach, potem kwitnąca olszyna, charakterystyczny grzyb przedwiośnia-piestrzenica, dalej widziałyśmy wychylające się z pośród murawy leśnej jeszcze niezupełnie rozwinięte przyłasczki (*Hepatica nobilis Ranunculaceae*), zawilce (*Anemone nemorosa - Ranunculaceae*). Wszystkie nasze usiłowania w celu szukania łuskielnika (*Latraea squamaria*) spełzły na niczem. Skonstatowałyśmy, że widocznie jeszcze nie zakwitł, bo w roku ubiegłym w tym samym miejscu spotykaliśmy go dość licznie.

Uwagę naszą zwróciło przekwitnięte już wilczelyko. (Wawrzynkowate).

Ze świata zwierzęcego, zwiastującego nam przedwiośnie, przedewszystkiem uwagę naszą zwrócił skrzek żabi, który zapełnił w lesie wszystkie mniejsze i większe kałuże wody. Tu i ówdzie spotykaliśmy mnóstwo żab skaczących i plwających w kałużach traszek. Ze względu na silny szum wiatru, trudno nam było usłyszeć świegotanie ptactwa, jednak, mimo przeszkód zdołaliśmy zaobserwować ku wielkiemu naszemu zadowoleniu ziębę, strzyżyka, wole oczko, mysikrólika i sójkę. Obserwacje nasze wykazały, że przedwiośnie w tym roku spóźniło się o miesiąc. Potwierdzają to obserwacje, robione przez nas w ogrodzie, np. leszczyna zakwitła w tym roku dopiero 20 kwietnia. Prócz obserwacji fenologicznych nie zaniedbaliśmy również i przypadkowych. Znalazłyśmy ładny okaz jemioli, pasorzytującej na jodle. Pień jemioli był bardzo gruby, według naszych przypuszczeń liczyła ona lat około 20 tu. Ponieważ gałąź ta wraz z pasorzytem była poprzednio przez kogoś odłamana, więc zabralyśmy okaz do szkoły, zawieszając go na jednej ze ścian w sali biologicznej, jako trofeum naszej wycieczki. Na sosnach spotykaliśmy licznie „miotły czarownic.” „Miotła czarownicy” jest to miejscowe zniekształcenie sosny w postaci miotły, spowodowane pasorzytującym na niej grzybkim. Spostrzegłyśmy również, że niektóre szkodniki drzew iglastych działają na niezwykle rozrost sosny. Obserwując, zauważyłyśmy, że jedne igły są b. szerokie i długie, inne bardzo wąskie, a jeszcze inne zwykłej długości i szerokości. Wszystkie miejscami tworzą na gałęziach mniejsze lub większe skupienie. W głębi lasu zauważyłyśmy w porębie bardzo ciekawy widok. Paleniem ognisk oczyszczano porębę, a na miejscu dawnego lasu robotnicy przygotowywali młode sosenki ze szkółki do sadzenia.

Dalszym naszym przyrodniczym obserwacjom przeszkodziła od początku niezbyt dopisująca nam pogoda. Byłyśmy około 3 km. odległości od zakładu. Deszcz początkowo mżył, a następnie padać zaczął rześistymi kroplami. Nie było innego wyjścia, trzeba było wracać do domu. Mimo licznych zapewnień, w lesie nie spotkałyśmy się wcale. Każda grupka była w innej stronie. Nie pomogły nawoływania „hop!” „hop,” bo wiatr, szum drzew i szum deszczu zgłuszył wszystko. Najmniej zmokła pierwsza partja, wróciła ona do seminarjum o 5-tej p. p.; w dwadzieścia minut po pierwszych przywędrowała druga partja, cokolwiek więcej zmoknięta. Reszta wycieczkowiczek zjawiała się „punktualnie” na kolację o godz. 7-mej, przemoknięta oczywiście do suchej nitki. Jedna tylko samotna „owieczka” długo bląkała się po lesie. Odłączywszy się od całej gromadki, nie mog-



ła trafić do Marjówki, wreszcie po wielkich usiłowaniach dotarła do murów naszego seminarjum. Z wielkiego strachu nic nie zdołała zaobserwować, przyświecała jej bowiem jedna tylko myśl szybkiego dostania się do domu.

Wszystkimi powyżej wymienionemi wiadomościami i spostrzeżeniami podzieliłyśmy się na zebraniu, które odbyło się dnia następnego tj. w niedzielę. Chodziło nam głównie o koleżanki, które udziału w wycieczce wziąć nie mogły. Mimo wszystkich niepowodzeń wycieczkowych, wspominamy nasz pobyt w Suchodole bardzo mile, mając na myśli zdanie, że wycieczka bez przygód nie ma uroku.

A-ir.

### Szarada.

Z następujących sylab ułożyć szereg wyrazów każdy wyraz 6-ciu liter tak, aby początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzyły imię i nazwisko współczesnego pisarza.

ed — rzec — i — nos — lem — to  
e — u — a — dra — ward — ma  
— za — za — o — il — cho — za  
— wa — mąt — ja — sna — leń  
— ka — wio — ło — mat — wicz  
— da — wa — ba — ra — bja —  
— ni — ren — ce — ka — giem — ka.

1. . . . .
2. . . . .
3. . . . .
4. . . . .
5. . . . .
6. . . . .
7. . . . .
8. . . . .
9. . . . .
10. . . . .
11. . . . .
12. . . . .
13. . . . .
14. . . . .
15. . . . .



## Znaczenie wyrazów.

- |                                               |                                      |
|-----------------------------------------------|--------------------------------------|
| 1. Imię męskie.                               | 8. półwysep w Azji.                  |
| 2. nazwa miesiąca.                            | 9. utwór sceniczny.                  |
| 3. imię żeńskie zdrobniałe.                   | 10. miasto w Polsce.                 |
| 4. wyspa w północnej części morza Egejskiego. | 11. bohaterka powieści Sienkiewicza. |
| 5. część morza, wrzynająca się w ląd.         | 12. pora roku.                       |
| 6. postać z powieści Quo-vadis.               | 13. epopeja grecka.                  |
| 7. gatunek skóry.                             | 14. część uprzęży.                   |
|                                               | 15. rozrywka.                        |



## KRONIKA.

**11 marca.** Nasze kochane maturzystki wiadomość o terminie egzaminów maturalnych przyjęły ze wzruszeniem, ale i z zapałem, gdyż bliskie są już osiągnięcia tak bardzo upragnionego celu.

„Czwartaki” rozprawiają poważnie na temat, że przed niemi nikt się już o terminie swej matury nie dowie...

**18 marca.** Spowiedź wielkanocna... Kaplica wypełniona po brzegi postaciami dziewczynek, uszeregowanych przy konfesjonalach... Cicho... poważnie... nastrojowo...

**19 marca.** Imieniny p. Dyrektorki... Po Mszy św. złożyłyśmy Czcigodnej naszej Solenizantce życzenia od całej szkoły.

Po obiedzie p. Rita Siemińska wygłosiła odczyt, traktujący o życiu i czynach marszałka Piłsudskiego. Wieczorem odbyło się przedstawienie:

I część „Rozmowa Zagłoby z Rochem Kowalskim.”

II Marzenie — Norwida.

III Koncert mandolinowy IV kursu.

**25 marca.** Nareszcie wyjeżdżamy do domu. Radość z powodu dnia tak bardzo

upragnionego przechodzi wszelkie oczekiwania.

W czasie naszej nieobecności ma się odbyć zjazd byłych wychowanek naszego seminarjum.

**8 kwietnia.** Już po świętach... Często po zgaszeniu światła słychać z różnych kątów przyciszone szepty: To zwierzenia koleżeńskie... szczere, proste a przenoszące stęsknioną duszę, choć myślą w tamte strony, gdzie dom...

**14 kwietnia.** Obchód Imienin naszego drogiego Księdza Kanonika został przeniesiony na dzień dzisiejszy a to z powodu Jego nieobecności w Marjówce 12-go kwietnia. Zebrane na sali dziewczynki gorącymi i serdecznymi słowami dziękowały naszemu najlepszemu Opiekunowi za wszystko to, co dla nas czyni...

Wieczorem odegraną została „Zaczarowana królewna,” baśń sceniczna w 3-ach aktach Or-Ota.

**17 kwietnia.** IV kurs zaczyna się praktycznie przygotowywać do zawodu nauczycielskiego. Z zajęciem omawia sprawę pierwszej lekcji próbnej...

Redaktorka odpowiedzialna: Irena Bagińska.

Adres Redakcji: SEMINARJUM NAUCZ. ŻEŃSKIE W MARJÓWCE P. PRZYSUCHA.

PRENUMERATA ROCZNA 2,50 z PRZESYŁKĄ 3 zł.

Druk szkoły rzemiosł w Marjówce.